Rocznik XXVIII. Wrzesień—Grudzień 1904. Nr. 8—12.

Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h, z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

Galicyjskiego Towarzystwa OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie pl. Bernardyński 7, dokąd wszystkie pisma — zaś wkładki i prenumeraty adresować należy: Adolf Mussil, ul. Kar. Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt



REDAKTOR: DR. JÓZEF LIMBACH.

Protokół

posiedzenia wydziału tow. które odbyło się dnia 26. września b. r. pod przewodnictwem W. P. radcy Marescha.

Obecni: PP. Gottlieb, Królikowski, Limbach, Mussil, Smalawski, Witowska.

Sekretarz oświadcza, że zaprosił Wydział na posiedzenie w sprawie drukowania Miesięcznika. Teraz, jest już wrzesień, w drukarni jest już dawno manuskrypt nietylko na 5 i 6, ale i na 7 i 8 numer, miesięcznik dotychczas nie wyszedł.

Na ostatni urgens sekretarza, oświadczył p. Zarządca drukarni, że drukować nie będzie, dopóki nie uiścimy długu.

Ponieważ Miesięcznik jest jedynem łącznikiem między członkami, dlatego sprawa pojawienia się jego jest bardzo ważną, nie możemy dozwolić na przerwę w wydawnictwie, Sekretarz więc przedkłada tę sprawę Wydziałowi.

Po przeprowadzonej dyskusyi, w której brali udział wszyscy obecni, uchwalono, by sekretarz odniósł się w tej sprawie raz jeszcze z samym właścicielem drukarni prof. Amborskim i wrazie ujemnego wyniku odniósł się znów do Wydziału.

P. Maresch wnosi o zaproszenie pani Wiśniewskiej żony marszałka pow. drohobyckiego do naszego towarzystwa.

Uchwalono.

Na tem posiedzenie zamknięto.

Maresch
przewodniczący.

Limbach
sekretarz.

Protokół

posiedzenie wydziału gal. tow. Ochrony Zwierząt, które odbyło się dnia 25. października 1904 pod przewodnictwem W. P. Pławickiego.

Obecni: PP. Limbach, Maxymowicz, Mussil Rybowski.

Odczytany protokół przyjęto.

Sekretarz zdał sprawę z konferencyi, którą z polecenia wydziału odbył z właścicielem drukarni prof. Amborskim, który nadal Miesięcznik drukować będzie. Po krótkiej dyskusyi sprawozdanie przyjęto do wiadomości.

P. Maxymowicz przedstawia zły stan koni tranwajowych, wykazuje, że karma ich jest nędzna, a porcye zmniejszone.

P. Pławicki stawia wniosek, byśmy zarządali rewizyi koni tramwajowych.

P. Mussil, popiera ten wniosek i dodaje, by motywować prośbę powstającą gołoledzią i tem, że już dwa lata upłynęło od ostatniej rewizyi.

Uchwalono.

P. Pławicki zdaje sprawę z bytności w Żywcu i przedstawia, jak się ma rzecz z protektoratem.

Po dyskusyi, która była poufną, przyjęto sprawozdanie z podziękowaniem do wiadomości.

Na tem posiedzenie zamknięto.

Pławicki
prezes.

Limbach
sekretarz.

Goryl w wrocławskim zwierzyńcu.

We wschodniej stronie miasta Wrocławia, na prawym brzegu Odry, leży piękny i obszerny zwierzyniec czyli ogród zoologiczny. Jest on własnością towarzystwa akcyjnego i istnieje od 10. czerwca 1865. Odznacza się on nietylko wielkiem bogactwem zwierząt z wszystkich części ziemi, ale wart jest widzenia także dla bardzo pięknych i praktycznych urządzeń, tak pod względem gospodarskim jak i budowlanym. Na uwagę zasługują przedewszystkiem pawilony drapieżców, słoni, małp, następnie koszary niedźwiedzi, olbrzymia klatka ptaków i t. d. Środek zwierzyńca zajmuje budynek restauracyjny z wielką salą koncertową. W porze ciepłej, co niedziela i środa, grywa tu muzyka, która ściąga liczne rzesze mieszkańców Wrocławia na ulubione rendez-vous.

Jak wielkie znaczenie mają ogrody zoologiczne, które za granicą w większych miastach, jak w Berlinie, Drezdnie, Lipsku, Hamburgu, Kolonii, Paryżu, Londynie i t. d., są powszechnem zjawiskiem, nie potrzebuję wyjaśniać. Wiadomo bowiem, że jak wszystkie nauki realne, tak nauki przyrodnicze przedewszystkiem opierają swe główne podwaliny na doświadczeniu i poglądzie. Tem bardziej zoologia wymaga takiego bezpośredniego zetknięcia się ze światem zwierzęcym. Jeżeli mamy zwierzęta znać i je poznać, trzeba koniecznie podpatrzyć ich życie, a ponieważ naj-

częściej nie możemy tego uczynić, gdy są na wolności, więc dajemy im w zwierzyńcu warunki najbardziej do ich zwyczajnego naturalnego otoczenia zbliżone. W zwierzyńcu dopiero przekonać się można, jak niedostateczne są niekiedy opisy, choćby najbardziej szczegółowe. Jeden rzut oka na postać lub ruch zwierzęcią przekonywa nas, żeśmy nieraz fałszywe pojęcie o zwierzęciu mieli. A nieocenionem już dobrodziejstwem jest zwierzyniec dla młodego pokolenia. Lekcya zoologii tu odbyta, wśród świeżego powietrza, wśród łona przyrody, na żywym okazie starczy za dziesięć lekcyi szkolnych. Nie dziw więc, że młodzież tłumnie garnie się do zwierzyńca, o każdej porze dnia pełno jej wszędzie wśród rozrywki i zabawy znajduje praktyczne pouczenie.

Ilekolwiek razy, od lat 30 przeszło, przypadło mi w mych podróżach naukowych za granicą zatrzymać się dłużej, czy też krócej w mieście, zwierzyniec posiadającem, zwiedzenie ogrodu zoologicznego tworzyło dla mnie zawsze nietylko przyjemną rozrywkę, ale i poważną korzyść naukowę. Wracając przed dwoma laty w sierpniu z Łużyc, gdzie bawiłem dla badań etnograficznych, zawadziłem o Wrocław. Po zwiedzeniu wszelkich zbiorów i muzeów, uzupełniających notatki moje ludoznawcze łużyckie, w ogóle etnologiczne, udałem się jednego wolnogo półdzionka tramwajem elektrycznym do wrocławskiego zwierzyńca, który zwiedziłem ostatni raz w r. 1900. Pogoda służyła, ba nawet cokolwiek wyższa ciepłota zapanowała, więc też ogród roił się od tłumów publiczności, a świat zwierzęcy, tu nagromadzony. nie ukrywał się w swych klatkach, lecz owszem używał, o ile mu to było dozwolonem, wolnego ruchu na świeżem powietrzu w swoich koszarach, czyli ogrodzeniach.

Nie będę opisywał wszystkich pawilonów i budynków, domków i pałaców, koszarów i klatek, zamieszkiwanych przez liczne wspaniałe zwierzęta i zwierzątka, gdyż nie ten opis był celem mego pióra, lecz goryl, mieszkaniec pawilonu małpiego, w którym zoczyłeś i mądrego szympansa i poważnego orangutana, również zwinne i małe koczkodany, krępe maskarniki, zuchwałe i wesołe magoty i t. d.

Goryl, któremu na imię było Puffi, a była to samica, był do ostatnich dni września b. r. jedynym okazem żyjącym w Europie. Dziś już nie żyje. Puffi przeżyła 7 lat w zwierzyńcu wrocławskim i mimo wielkiej pieczołowitości, jaką ten jedynie w Europie egzemplarz hodowany w zwierzyńcu, otaczano,

uległa cierpieniom nerkowym w połączeniu ze skorbutem. Podczas kongresu przyrodników i lekarzy, który odbył się w połowie września b. r. w Wrocławiu, była Puffi przedmiotem licznych odwiedzeń i niemal serdecznych owacyi, a dyrektor zoologicznego ogrodu, dr. Grabowski, przy zagajeniu sekcyi zoologicznej tegoż kongresu, miał właśnie wykład o tym gorylu. Już na tem posiedzeniu wspomniał dr. Grabowski uczestnikom zjazdu, że Puffi z powodu cierpień nerkowych pozostaje pod opieką lekarza uniwersyteckiej kliniki Czernego dla dzieci. Gdy Puffi była zdrowszą, biła się z radości pięściami w piersi; z daleka rozpoznawała chód swego dozorcy, nie widząc go wcale. Chociaż nieraz przedsionku przed klatką nagromadziło się 100 lub więcej ciekawych widzów, a wśród nich był dozorca, pozdrawiała go zawsze, objawiając to ruchem swej ręki. Zmysł powonienia był u tego goryla-samicy wysoko rozwinięty, odrzucała bowiem takie potrawy w których nawet delikatny nos ludzki nie mógł wyśledzić obcych dodatków lub przymieszek. Ulubionem jej pożywieniem była skórka z chleba lub bułki, koniczyna suszona, liście akacyi, kwiaty róży, owoce, daktyle, banany, marchew, gotowany ryż i ziemniaki. Zwierzę to było lękliwe; burze piorunowe i wichury napawały ją wielkiem strachem. Z ludźmi białej rasy obchodziła się obojętnie, wyjąwszy te osoby, które znała; ludzie ciemnej rasy, przedewszystkiem murzyni, wprawiali ją w wielkie wzburzenie i gniew; jest to zresztą zjawisko, które spostrzegałem i u innych rodzajów małp.

Puffi mieszkała w wielkiej, jak pokój klatce, która od strony widzów była oszklona, a od sąsiedniej klatki, którą zajmował szympans, oddzielała ją żelazna krata. Z szympansem żyła Puffi w wielkiej przyjaźni, chociaż on jej nieraz dokuczał, jużto szarpiąc ją za ogon lub nogę, już też łechcąc ją źdźbłem słomy po uszach i miejscach łaskotliwych.

Z przyjemnością przypatrywałem się w r. 1900 i 1902. śmiesznym zabawom i zapasom tych dwu małp. Przypomniały mi one zabawy szympansa w zwierzyńcu hamburskim z r. 1895. i orangutana w zwierzyńcu p. dra Kauera w Wiedniu z r. 1894.

Godzi się przymioty jednego i drugiego opowiedzieć. Gdym zwiedzał zwierzyniec dr. Kaura w Wiedniu. był to właśnie pierwszy dzień, w ktorym przedstawiono orangutana publiczności wiedeńskiej. Wiele gości przypatrywało się jemu. Malutki, rudy z długiemi rękami i z pękatym swym brzuskiem, komiczne robi

wrażenie, osobliwie gdy z największą powagą chodził sobie po klatce, prowadzony za rękę przez dozorczynię. „*Gieb doch a' Busserl*“ — rzekła do niego. Orangutan stanął natychmiast, wspiął się na nogach, jak mógł wysoko, by dosięgnąć schylonej dozorczyni, chude swe wargi złożył w rurkę i dał się w nie pocałować. Niezmiennie powtarzał to kilkanaście razy, widocznie że małpy znajdują upodobanie w całusach. Nagle zobaczył przy kracie stojącego psa, opuścił prędko swą dozorczynię, zbliżył się nieznacznie do psa i plunął mu tak zręcznie w oczy, że pies przerażony uciekł. Zadowolony ze swego figla, powrócił orangudo swej piastunki. by przechadzkę po klatce na nowo rozpocząć.

Szympans hamburski, do dziś dnia żyjący, mieszka sobie w obszernej i wygodnej klatce. Patrząc na niego, zapominamy że mamy małpę przed sobą. Robi on wrażenie dzikiego, brzydkieho wprawdzie, ale bardzo roztropnego, choć kapryśnego i rozpieszczonego chłopaka. Niedługo staliśmy przed szybą, która chroni klatkę jego przed wpływem zmiennej aury. ale wystarczyło to, by nas wprawić w podziwienie swemi czynnościami. Siedział sobie oparty o drzewo i ciekawie przypatrywał się gościom; w tem zobaczył dozorcę, z którym na bardzo poufałej żyje stopie. Ten zdaleka przez szybę pokazał mu jabłko i schował do kieszeni. Trzeba było wiedzieć, w jaki gniew wpadł szympans, że dozorca go oszukał, zaczął krzyczeć i piszczeć a gdy to nie pomogło, bil rękami o podłogę zapamiętale, i dopóty to robił, aż nie zobaczył, żz dozorca zbliża się do drzwi klatki i to go uspokoiło odrazu, zniknął gniew z jego twarzy a chude jego wargi złożyły się do wyraźnego śmiechu. Niektórzy odmawiają małpom daru śmiania się, sądzę, że ci sympansa nigdy nie widzieli, uśmiech jego jest tak wyraźny, twarz cała i wyraz oczu tak do tego zastosowany, że kwestya ta nie ulega wątpliwości, Dozorca wszedł do klatki, poważnie sięgnął szympanns po kawałek jabłka, który schował do gęby, przybliżył się do dozorcy i rozpoczęła się śmieszna scena rewidowania tegoż; jak najprzebieglejszy strażnik celny zachowywał się szympans; skropulatnie badał każdą kieszeń, o żadnej nie zapomniał, w każdej tonęła jego długa ręka, czy przypadkowo czego nie znajdzie; a trzeba było widzieć wyraz zadowolenia, jaki rozlał się po twarzy jego, gdy nareszcie po długich bezowocnych poszukiwa-

niach w jednej z kieszonek kamizelki odnalazł drugi kawałek jabłka.

Ale wróćmy po naszego goryla Puffi, Mimo opieki lekarskiej Puffi uległa chorobie, a wrocłaski ogród zoologiczne poniósł wielką stratę pieniężną, bo goryl jest bardzo drogiem zwierzęciem a niewolę znosi z trudnością. Ojczyzną goryla jest zachodnie wybrzeże Afryki, mianowicie brzegi rzeki w Gwinei dolnej. Trzyma się lasów przytem miejsc bardzo wilgotnych pędząc życie koczownicze, błąkając się bez odpoczynku bądź, samotnie bądź z rodziną. W tym drugim wypadku, gdy noc nadchodzi, samica wraz z młodemi (1—2) umieszcza się na drzewie, w gnieździe naprędcem złożonem z gałęzi, samiec zaś spoczywa pod drzewem jakby na straży. Europejskim podróżnikom był goryl znany już w wieku XIX. zdobyte zostały fakty, dotyczące życia jego. Po raz pierwszy przywieziony został do Europy w r. 1875 przez doktora Falkensteina. Dostał w goryl do niewoli, licząc zaledwie kilka miesięcy. W ciągu trzech kwartałów pozostawał najsamprzód w niewoli w Afryce, poczem dostał się do zwierzyńca w Berlinie. Jednak po 15 miesiącach uległ suchotom. Był on bardzo łaskawy, przy jedzeniu używał łyżki i sypiał na łóżku. przykryty kołdrą. Koło r. 1886 zwierzyńce londyński i amsterdamski posiadał po jednym młodym gorylu, ale przez bardzo krótki przeciąg czasu. Bardzo wielki i wspaniały okaz wypchanego goryla posiada przyrodnicze muzeum w Wiedniu. Wrocławski goryl Puffi został wypchany i znajduje się w zoologicznym instytucie Wrocławiu.

Żywiec, dnia 30. października 1904.

Br. Gustawicz.

W grobie

Zdarzenie prawdziwe.

— Chcecie, bym coś zabawnego Wam z ostatnich moich manewrów opowiedział — rzekł p. K. asystent pocztowy, Dobrze, opowiem zdarzenie, wprawdzie nic wesołe, ale bardzo dziwne. Jeszcze dzisiaj, po dwóch latach, na wspomnienie tego, dreszcz bojaźni mnie przejmuje,

— Prosimy, odezwały się głosy. Każdy z nas poprawił się wygodniej na siedzeniu i popijając herbatę słuchaliśmy z uwagą

— Dwa lata temu — rozpoczął p. K. — byłem wezwany na manewry cesarskie, zajmywałem wtedy we wojsku wysoki stopień „Zugsführera“. Nieraz więc miałem oddany malutki oddziałek do samoistnego prowadzenia.

Manewry zbliżały się do końca, nie pamiętam już ile to tuzinów kilometrów zrobiliśmy, idąc w prawo, w lewo, wprzód, wtył, potykając się z rzekomem nieprzyjacielem, cofając się przed nim, lub posuwając za nim.

Najczęściej nie mieliśmy pojęcia, po co i gdzie idziemy, i w jakiej okolicy się znajdujemy.

Tak właśnie raz zgoniono nas przez dzień w straszny spo sób. Byliśmy daleko od wsi i nie wiedziałem wcale, gdzie nocować będziemy.

Prowadziłem mały oddział, który przez dzień krył boki głównej kompanii; wieczorem otrzymałem rozkaz od porucznika zaprowadzić moich ludzi do poblizkiej wsi S., gdzie nocleg był przygotowany.

Nie wiedziałem, gdzie jest ta wieś, jedyną wskazówką daną nam od porucznika było, że wieś leżała na drożynie, którą szliśmy.

Porucznik oddalił się od nas, by połączyć się z głównem oddziałem, a z nami został tylko jego foryś, prowadząc na smyczy ładnego dużego doga, który towarzyszył swemu panu na manewry.

Biedne psisko cierpiało głód, bo i pan jego nie mógł zawsze zaspokoić swego apetytu. Dlatego łakomym wzrokiem spoglądał na jedzących chleb żołnierzy, zdjęła mnie litość i dałem mu całą moją porcyę, którą w mgnieniu oka pożarł. Nie wiedziałem, że ten kawałek chleba wybawi mnie wkrótce z fatalnej sytuacyi. Ajax, bo tak się wabił, nie odstępywał mnie na krok i jak tylko smycz dozwalała, zbliżał się do mnie. Szliśmy tak dalej, wlokąc się w błocie. Sciemniło się całkiem, przed nami ciągła się jakby w nieskończoność czarna, błotnista wstęga, zwana drogą prywatną, z boku majaczyły kępki drzew, ani znaku mieszkania ludzkiego.

Nareszcie po długiej godzinie piekielnie nudnego i piekielnie nużącego marszu, zabłysły w wielkiej oddali światełka, znak, że wkrótce dobijemy się do wsi. Niestety, były i inne znaki, że dobijamy się do niej — błoto stało się grzązkie, noga tonęła w nim i trudno było kroki stawiać.

Szedłem na końcu oddziału, przeklinając w duchu nasze prywatne drogi, w tem rozglądając się na boki zobaczyłem, że brzegiem drogi wiła się nieco suchsza ścieżka; nie myśląc wiele przeskoczyłem rów i maszerowałem dalej tą drożyną, która widocznie omijała błotnistą drogę i dążyła także do wsi. Nieznacznie oddalała się od drogi i kierowała na małe wzgórze, gdzie widniały krzaki. Wkrótce dobiłem do nich do nich, okalały duży kawał pola, ścieżka wprost przez nie prowadziła. Nie trudno było dostrzec, że szedłem teraz przez cmentarz, tu i ówdzie sterczały krzyże, majaczyły kamienne nagrobki, a ścieżka, idąc falisto, świadczyła, że i już niewiele sobie robili z umarłych, którzy tam kamiennym snem zdjęci, spoczywali na wieki i po ich grobach skracali sobie drogę.

I ja nie wiele sobie robiłem z tego. Wprawdzie z początku niemiłe mnie ogarnęło uczucie. Być samotnym na cmentarzu nieznanym, do tego w ponurej, ciemnej nocy nie należało do przyjemności; głucha cisza zaległa w około, bo droga poszła po za pagórek cmentarny i nieslyszałem odgłosu maszerującego oddziału.

Ale od czegoż jest się żołnierzem, do tego młodym, otrząsłem się z przykrego wrażenia i szybko podążyłem naprzód śledząc zwrokiem. rychło się cmentarz skończy i znajdę się na drodze do wsi — wtem zaszło coś niespodziewanego, moja noga zamiast trafić na grunt twardy, trafiła w próżnię i nim mogłem się cofnąć, straciłem równowagę i runąłem w dół. W pierwszej chwili nie widziałem, co się stało. Powoli wyprostowałem się, nic mi się nie stało, upadłem na grunt gliniasty. Byłem w dole, popatrzyłem w górę, nieledwie ręką sięgnąć mogłem do brzegu, prostopadłe ściany dołu, naprowadziły mnie na prawdziwą myśl Wpadłeś w wykopany grób, — rzekłem w duchu — jak tu się wydobyć? tak rozważałem i ani cienia bojaźni nie czułem. Gdym tak chwilkę stał, patrząc do góry i myśląc o wydobyciu się, nagle przypomniałem sobie karabin, który opuściłem z ręki padając. Schyliłem się po niego i podniosłem, gdy tem wzrok mój padł na przeciwległy tył grobu i wtedy dopiero uczułem, jak w przestrachu włosy mi najeżyły się na głowie. Widziałem wyraźnie, że tam w kącie coś dużego czernieje. Cofnąłem się pod ścianę, wlepiłem wzrok osłupiały w tę czarną plamę, chciałem krzyknąć, zapytać, ale głos jakby zamarł mi w gardle. Jak długo tak stałem nie wiem, ale powoli przytomność mi wracała,

oko przyzwyczajone do ciemności rozpoznało, że rzeczywiście tam w kącie coś siedzi, czy leży, nie mogłem rozpoznać, czy to żywa istota, czy co innego. Zebrałem się wreszcie na odwagę i powoli zbliżyłem się do drugiego kąta grobu, bezładna kupa czerniała przedemną.

— Kto to? zapytałem.

Żadnej odpowiedzi.

— Kto to? Krzyknąłem głośno i wyciągnąłem rękę, by się dotknąć tego co miałem przed sobą, Jakiś głuchy, przeraźliwy jęk uderzył me ucho. Skoczyłem przestraszony w tył i znów oparłem się plecyma o ścianę, gdzie pierwej byłem. Zimny pot oblał mnie całego, znów dreszcz bojaźni przeszedł me ciało. Nie mogłem pojąć, co to mogło być takiego, a właściwie do głębi strachem przejęty, nie myślałem o tem.

Upłynął może dobry kwadrans, a może i więcej, jak nieruchomy wpatrzony w kąt drugi stałem.

Nareszcie oprzytomniałem, ująłem silniej karabin i krzyknąłem:

— Kto tam, mów, bo strzelę.

Przeczekałem chwilę i kto wie, czy nie byłbym w tę kupę czerniejącą przedemną nie strzelił, gdy nagle ten nieznany przedmiot zerwał się, rzucił się mnie. Poczułem, jakby jakieś ręce mnie chwytające i ten sam jęk straszny przeszył powietrze.

Prawie odchodząc od przytomności, odepchnąłem od siebie tę moją zmorę, aż z jękiem upadla, a sam wypaliłem z karabinu w górę. Ostry strzał przeszył powietrze i ledwie echo jego przebrzmiało, usłyszałem gdzieś w dali ujadanie psa.

— Ajax, Ajax — krzyknąłem z całej siły i po małej chwili szczekanie rozległo się na cmentarzu i wkrótce ujrzałem łeb Ajaxa, zaglądającego do grobu i szcsekającego głośno z uciechy Nie miałam czasu a właściwie bałem się spojrzeć, na to, co leżało u stóp moich, ale już daly zię słyszeć głosy moich żołnierzy, którzy idąc za szczekaniem Ajaxa, odnaleźli mnie w grobie.

Za chwilę po sznurze rzuconym, wydostałem się na górę Kilka słów objaśniło żółnierzy, że jeszcze tam coś jest. Spuściło się tam ich dwóch i wkrótce zobaczyłem wydobyty przez nich przedmiot mego strachu. Wiejska kobieta, leżała w głębokiem omdleniu przedemną.

Wzięto ją na karabiny i ruszyliśmy do wsi. gdzie już mój oddział dawno biwakował.

W karczmie, do której przybyliśmy, wzięto się do cucenia omdlałej. Wszelkie jednak wysiłki spełzły na niczem, nie upłynęła godzina, a martwe już zwłoki leżały na ławie. Zabił ją strach Była to mleczarka, która codziennie o tej porze z miasta wracała. Nie wiedziała nic o świeżo wykopanym grobie. Wpadła tam, że nie mogąc się wydostać czkała zmiłowania. Gdym i ja uległ temu, co i ona losowi, musiała się strasznie przerazić, nie wiedziała, co czynić, rzucając się w strachu na mnie. Ostry strzał przeraził ją do reszty. — i strach skończył się śmiercią.

Moją nieobecność spostrzegli żołnierze zaraz, ale dopiero po godzinie wybrało się kilku na poszukiwanie, sądząc że zbłądziłem. Jednemu przyszła szczęśliwa myśl wzięcia Ajaxa ze sobą. Skoro tylko tylko doszli do ścieżki, gdzie zboczyłem, pies wraz z głośnem szczekaniem podjął mój trop i prowadził wprost na cmentarz żołnierzy, skąd wabił resztę.

Na tem konczy się moje opowiadanie; zdarzenie to jeszcze długo, długo będzie mi w pamięci, i nie życzyłbym nikomu znaleść się w tem samem położeniu. *Lim.*

Co człowiek zawdzięcza zwierzętom? [1]

Żywa przyroda nie przestawała być tematem, podejmowanym przez rzeźbiarzy i malarzy od najdawniejszych czasów, aż do obecnych, a nawet po części przyczyniła się do powstania nowych kierunków jak np. realistyczna szkoła holenderska z Van Dykiem na czele. Z pomiędzy długiej listy nazwisk artystów, którzy mniej lub więcej poświęcili się odtwarzaniu zwierząt wymienimy Van Dycka, który namalował byka uważanego zawsze za arcydzieło, Holbeina i Lochnera — malarzy ptaków, Alberta Dürera, celującego w odtwarzaniu na płótnie koni. Neri Jacopo Bassana, którego arcydzieła figurują w Luwrze, Rubensa, który malował szczególnie trafnie drapieżne bestye, z naszych Kossaka, Fałata i Rosena.

W Watykanie istnieje muzeum, zawierające mnóstwo rzeźb starożytnych, wyobrażających najrozmaitsze zwierzęta, lub sceny w których odgrywają one główną rolę. Widzimy więc, że zwierzę niejednokrotnie natchnęło artystę pięknem swych form do stworzenia arcydzieł sztuki.

---

[1]) Wyjątek z odczytu Wład. Umińskiego.

Kult, czyli ubóstwianie zwierząt widzimy prawie wszędzie. Starożytni Egipcyanie widzieli w czczonych przez siebie zwierzętach uosobienie pewnych sił przyrody, dodatnio działających na ludzkość. Apis np. — święty — był uosobieniem Ozyrisa, boga słońca, płodności i rolnictwa. Inne zwierzęta, jak np. pies, kot i ibis, były znów ubóstwiane za swą pożyteczną działalność. Naród ten posunął się tak daleko w tym kulcie, iż wznosił świątynie na cześć pewnych zwierząt, ustanawiał srogie kary za zabicie którego z nich, chociażby mimowolne; po śmierci zaś balsamował je a nawet, budował im wspaniałe grobowce. Oprócz zwierząt, uznanych za święte w całym Egipcie, każde miasto miało jeszcze swoje własne zwierzę, któremu oddawało cześć.

Murzyni afrykańscy uważają za święte te zwierzęta, które obierają sobie na fetysze. Indusi oddają hołdy krokodylom, wężom, oraz wierzą, iż dusze ludzkie mogą przechodzić w ciała zwierząt. Przykładów takich możnaby zaczerpnąć nieskończenie wiele.

Nieulega też wątpliwości, iż zwierzęta przyczyniły się i przyczyniają silnie do rozwoju wiedzy ścisłej.

Nauką, która zawdzięcza może najwięcej światu zwierzęcemu jest niewątpliwie fizyologia i medycyna. Sławny Pasteur którego słusznie nazwać można dobroczyńcą cierpiącej ludzkości, nie byłby w stanie przeprowadzić swych wiekopomnych badań nad wścieklizną, ani znaleść na nią lekarstwa, gdyby nie to, iż mógł śledzić rozwój i osłabienie się zarazka tej strasznej choroby na zwierzętach, mianowicie na królikach i świnkach morskich. Nowoczesne lecznictwo chorób zaraźliwych weszło na nową drogę, dzięki pomocy, jaką znajdowali uczeni w zwierzętach.

Biedne stworzenia, nie wiedząc nawet o tem, stają się męczennikami dla dobra wiedzy i ludzkości; oddają swe życiej abyśmy mogli odkryć nową leczniczą metodę i uwolnić się od jakiejś dolegliwości.

Dr. Roux jak wiadomo, wynalazł świeżo skuteczny środek przeciw dyfterytowi, który okrywał dotychczas żałobą tysiące nieszczęśliwych matek. Bez wątpienia jego to zasługa, jemu winniśmy wdzięczność; słusznie jednak będzie, jeżeli maleńką cząstkę tych uczuć zwrócimy ku szlachetnemu koniowi, którego

krew dostarczyła uczonemu materyału do sporządzenia cudownego leku.

Dzięki zwierzętom medycyna może się swobodnie rozwijać na drodze, wskazanej jej przez genialnego Pasteura i jego uczniów. Kto wie, czy idąc nią, nie zdołamy kiedyś uwolnić się od tych wszystkich chorób, które dziesiątkują ludzkość i są od początku świata plagą, czyniącą życie bolesnem i krótkiem. Jeżeli to stanie się kiedykolwiek, to, powtarzamy raz jeszcze, zwierzęta odegrają tu nie małą rolę.

Nie tylko jednak medycyna korzysta z ich usług; zawdzięcza im też niemało odmienna całkiem gałęź naszej wiedzy — geografia. Weźmy za przykład Australię. Ta najpóźniej odkryta część świata przez długi czas zazdrośnie ukrywała przed nami swe tajemnice; wszystkie wyprawy, przedsiębrane w pierwszej połowie bieżącego wieku, celem zbadania jej wnętrza, spełzły na niczem; liczni podróżnicy złożyli swe kości na jej niegościnnych pustyniach, iż męstwo, wytrwałość, cierpliwość nic nie pomogły i Australia byłaby do dziś dnia ziemią nieznaną, gdyby nie wielbłąd. Ten „okręt pustyni“, sprowadzony z Afryki, dokonał tego, co bez jego udziału było niewykonalnem — pomógł ludziom do zdarcia zasłony, okrywającej wnętrze Nowej Holandyi, kładąc niespożyte zasługi dla geografii.

Historya każdej prawie gałęzi wiedzy zawiera karty, związane mniej lub więcej ściśle z jakiem stworzeniem, które posłużyło do odkrycia doniosłych faktów, że wspomnimy tylko o galwanizmie, który wziął początek od badań nad ruchami nieżywej żaby, dotykanej różnorodnymi metalami.

Póki Watt i jego poprzednicy nie wynaleźli machiny parowej, która zrobiła przewrót w przemyśle, głównym motorem było zwierzę. Powolny wół obracał żarna, chodził w deptaku dźwigał ciężary, ciągnął pług i ciężko ładowne wozy; koń stanowił jedyny prawie rozpowszechniony na całym świecie środek przenoszenia się z miejsca na miejsce po lądzie. On to dźwigał człowieka na swym grzbiecie i pozwalał mu zapanować nad odległością; on pracował wespół z wołem dla dobra człowieka przez długie wieki, on dodawał swemu panu sił w walkach z nieprzyjaciółmi. Dziś dopiero mechaniczne motory, poruszane parą i elektrycznością, podejmują zań ciężką i niewdzięczną pracę, obiecując mu dobrze zasłużony wypoczynek.

Pragnąc sumiennie zaznaczyć wszystkie rodzaje wpływów zwierząt na rozwój cywilizacyjny człowieka, musielibyśmy przekroczyć ramki niniejszej pogadanki; i tak mówiliśmy dopiero o stronach dodatnich, pozostawiając w cieniu ujemne, pomimo że i one zasługują na uwzględnienie. Faktem jest, że zwierzęta w wielu okolicach ziemi oddziaływają hamująco na cywilizacyę Działalność owadów, drapieżników i innych szkodników nie zdoła jednak nigdy cofnąć ludzkości ku barbarzyństwu; walka bowiem z nimi prędzej czy później musi się zakończyć na korzyść strony, obdarzonej inteligencyą i ludzkość będzie kroczyła dalej na chlubnej drodze ku doskonałości.

Niestety! Człowiek, wyniesiony na króla stworzenia, zapomina często o roli, jaką odegrały przy nim zwierzęta i za doznane usługi odpłaca im niewdzięcznością. Uważając się za wszechwładnego im pana, brutalnie je wyzyskuje i tępi bez miłosierdzia. Łaski swoje zachował on tylko dla tych gatunków, które bezpośrednio przyczyniły się do jego wyniesienia i poddały mu kark pod jarzmo. Miejmy jednak nadzieję, że ta ciemna strona jego charakteru zatrze się kiedyś.

Tak więc, śmiało możemy zgodzić się na to, że *zwierzęta odegrały niesłychanie ważną rolę w dziejach rozwoju ludzkości* ważniejszą może, aniżeli inne czynniki, które na nią wpływały równocześnie. *Jeżeli jesteśmy tem, co obecnie, jeżeli możemy z chlubą powiedzieć, że panujemy nad światem, zawdzięczamy to w znaczne mierze zwierzętom.*

Takie przekonanie nie poniży nas bynajmniej; — przeciwnie — bo prawda i sprawiedliwość zawsze wywyższa i uszlachetnia.

Pasterz koczownik, w swych rozbójniczych wyprawach i dalekich pochodach, łączył się w hordy, które stanowią jedną z pierwszych form społecznych. Zjawia się już tutajześrodkowana, despotyczna i stała władza, jako w danych warunkach niezbędna. Jednem słowem widzimy postęp na drodze ku osiągnięciu wyższego rozwoju.

Obcowanie ze zwierzętami, piecza o ich dobro, otrzymywane od nich usługi wpłynęły na złagodzenie charakteru człowieka. Pasterz nie jest już tak pozbawionym wszelkich dobrych uczuć, ani tak okrutnym, jak dziki myśliwiec. Z początku sympatyzuje on tylko ze zwierzętami, bo widzi w nich swych dobroczyńców, powoli jednak przenosi on te uczucia i na ludzi

Do jakiego stopnia może dojść dbałość koczownika o pożyteczne zwierzę, wymownie świadczy obchodzenie się Araba z koniem.

Beduin, pędzący życie w pustyni, rzec można śmiało, ubóstwia swego szlachetnego wierzchowca. Dla niego nigdy nie zabraknie wody do picia, ani paszy, on zajmuje najlepsze miejsce w namiocie, uczucia wszystkich członków rodziny ześrodkowują się na nim. Pan pieści go czule, ściska w swych objęciach z uniesieniem jego łabędzią szyję, okrywa zgrabny łebek pocałunkami i wyszukuje najwymowniejszych słów pochwały. Dzieci igrają mu u nóg, piękne czarnookie dziewice głaszczą jego błyszczącą sierść i stroją grzywę wstążkami i świecidłami. Arab rozstaje się z nim w ostatniej chyba konieczności, a żegna go płaczem. Strata małżonki albo dziecka nigdy go tak nie zasmuci, jak śmierć ulubionego rumaka. Na nim on wzrasta, na nim przepędza połowę życia, na nim walczy i na nim często umiera.

Koczownik, pilnując nocą stad, lub odbywając wędrówki, rozpoznaje czas z ruchów gwiazd, błyszczących nad jego głową na stropie niebios i kieruje się w stepie szerokim przy ich pomocy. Obserwacye ustawiczne prowadzą go do poznawania pewnych stałych zjawisk i zastanawia się nad niemi. To też *astronomia,* króiowa nauk, zawdzięcza swój początek dzikiemu pasterzowi. Równocześnie z nią zjawia się *matematyka.* Pustynia ze swemi wielkiemi odległościami, jednostajnością i wspaniałością sprzyja bowiem rozwojowi oderwanych pojęć i głębokim rozmyślaniom. *Koczownik pasterz, podobnie jak dziki myśliwiec ma także zakreślone granice rozwoju.*

Cywilizacya wyższa wymaga przedewszystkiem życia osiadłego, nagromadzenia wielkich zasobów w jednem miejscu, wytwarzania regularnego, stałego, jaknajmniej zależnego od kaprysów przyrody i ugruntowanego bezpieczeństwem osobistem pracującego. Tego wszystkiego nie może osiągnąć pasterz, zmuszony przenosić się z miejsca na miejsce, żyjący z rabunku, ulegający ciągłym napadom wrogich sąsiadów i niepewny przyszłości. Stąd w niektórych okolicach ziemi, jak np. w stepach środkowej Azyi, w pustyniach Arabii i Afryki pozostał on i prawdopodobnie będzie nadal koczownikiem. Ważną hamującą rolę odgrywa tutaj przyzwyczajenie do odwiecznego trybu życia. Zresztą przejście u stanu pasterskiego do osiadłego odbywa

się powolnie i stopniowo. Murzyni środkowej Afryki n. p. ciągle przenoszą swe wioski; to samo czynią plemiona górskie Indyi Odwrotnie, niektóre narody, pozbawione zwierząt dających się hodować, a zamieszkujące krainy, bogato uposażone w pokarmowe. rośliny, przechodzą do rolnictwa odrazu od życia myśliwskiego. Za przykład posłużą nam tutaj ludy amerykańskie Peruanowie i Meksykanie, a także mieszkańcy wysp Oceanu Spokojnego. Należy zauważyć, iż ogrodnictwo jest o wiele starszem od rolnictwa w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Wiele ludów barbarzyńskich sadzi drzewa przynoszące owoce, a także mais, taro, maniok, a jednak nie uprawia pól pod zasiew zbóż, jak my to czynimy.

Jak koczujący pasterz stał się osiadłym rolnikiem, można to sobie wyjaśnić, rozważając warunki jego bytu i logiczne ich następstwa. Powiedzieliśmy już, iż skutkiem względnego przeludnienia i innych drugorzędnych przyczyn, musiał on często opuszczać rodzinne stepy i zajmować sąsiednie terytorya, nie posiadające nieraz potrzebnych mu rozległych pastwisk. Uczuwał on tam, rzecz naturalna, brak paszy i musiał sztucznie starać się o jej pomnożenie, siejąc trawy pożywne na miejscach, gdzie takowe przedtem nie rosły. Czyniąc tak zauważył on,[1]) iż niektóre z nich zawierają ziarno mączyste, zdatne na pokarm i dla niego samego; z czasem dzikie trawy, pod wpływem sztucznego krzyżowania i hodowli, uszlachetniły się i zamieniły w zbożowe rośliny, uprawiane obecnie przez nas.

Zmuszony do uprawiania znacznych obszarów pasterz-rolnik nie mógł tego dokonywać własnemi siłami, wpadł więc na pomyśl wyręczania się w tej ciężkiej pracy zwierzętami, które posiadał. Wyzyskiwanie sił wołu, konia i osła spotęgowało niesłychanie jego wytwórczość i dobrobyt i stało się potężną dźwignią postępu. Od tej chwili człowiek staje się zarazem myśliwym, hodowcą zwierząt pożytecznych i rolnikiem osiadłym, lecz opiera swój byt głównie na uprawie ziemi.

Meksykanie, w chwili podboju przez Hiszpanów, nie posiadając pociągowych zwierząt, zmuszeni byli, jak nadmieniliśmy zaorywać grunta przy pomocy sił ludzkich, dla tego też rolni-

---

[1]) Ludy nieposiadające zwierząt zdatnych do hodowli np. Australczycy, znają użytek ziarn dziko rosnących zbóż, lecz nie sieją ich umyślnie. W tych wypadkach znajomość pieczenia chleba poprzedza rolnictwo. (Przyp. autora).

ctwo stało u nich nieporównanie niżej, aniżeli w Europie ówczesnej, kwitnęło natomiast ogrodnictwo. Człowiek osiadły szybko rozwija się i wznosi aż do stanu cywilizacyi.

Czy zwierzęta, oddawszy tyle usług niespożytych sprawie postępu ludzkości, przestały wywierać na nią dobroczynny wpływ? Bynajmniej, trwa on w dalszym ciągu. Człowiek ucywilizowany zawdzięcza i dziś jeszcze wiele, bardzo wiele swym czworonożnym towarzyszom na ziemi. Odgrywały one bardzo ważną rolę w rozwoju jego sztuki, nauki, przemysłu, a nawet pozostawiły swe ślady w religii i filozofii. Popełnilibyśmy niesprawiedliwość, pomijając milczeniem te ich zasługi.

Przypomnijmy tylko, że najstarszemi zabytkami sztuki, są wizerunki zwierząt, wykonane jeszcze w czasach przedhistorycznych przez człowieka jaskiniowego. W grocie Madeleine znaleziono rękojeść do noża z rogu, rzeźbioną bardzo zręcznie, a przedstawiającą jelenia; w innych jaskiniach napotkano rysunki niedźwiedzi, koni, reniferów, hyen, lisów a nawet mamutów, wykonane względnie nieźle, zwłaszcza pasący się renifer z Thayngen jest wyrysowany, że tak powiemy, po mistrzowsku. Rzecz godna zastanowienia, że wszystkie te próbki sztuki przedhistorycznej przedstawiają tylko zwierzęta, lub zwierzęta i ludzi razem. I nie mogło być, podług nas, inaczej. Pierwszy rysownik tak jak każdy artysta dążył do odtwarzania tego, z czem najczęściej się stykał, a więc świata zwierzęcego.

Ten sam świat dostarczał mu pierwszych ozdób, jakiemi starał się przybrać swe nagie ciało; dziki myśliwiec stroi się w pióra ptasie, zęby i pazury drapieżnych bestyi, w muszle niezwykłych kształtów, w skórki.

O czyżyki.

Opiekun cyrkułowy Towarzystwa opieki nad zwierzętam, przy I. cyrkule Zamkowym w Warszawie p. Zygmunt Jasiński, podczas rewizyi w sklepie ze śpiewającemi ptakimi p. Ernesta Peszla przy ul. Nowo-Senatorskiej l. 7, pomiędzy różnem ptactwem zagranicznem znalazł 7 czyżyków i na tej zasadzie pociągnął Peszla do odpowiedzialności przed sędziego pokoju X. rewiru.

Oskarżony dowodził, iż czyżyki pochodzą z zagranicy i na dowód słów swoich przedstawił listy frachtowe, że sklep ten ma od lat kilkunastu i nikt z opiekunów dotychczas nie kwestyonował mu ptaków, popiero obecny opiekun p. Jasiński.

Oskarżyciel zaś dowodził, że na zasadzie frachtów Pesze może stale skupywać ptaki, a frachty mieć dla upozorowania przewinienia, zresztą o ileby to nawet było prawdą, że czyżyk pochodzą z zagranicy, to Peszel również powinien być karany gdyż w ustawie Towarzystwa wyraźnie powiedziano, że pod żadnym pozorem nie wolno handlować miejscowem śpiewającem ptactwem, ani też karmiącem się owadami.

Sędzia przychylił się do tych wywodów i skazał Ernesta Peszla na trzy ruble grzywny, ewentualnie na dwa dni aresztu a czyżyki nakazał odebrać przez policyę i oddać Towarzystwu opieki nad zwierzętami celem wypuszczenia ich na wolność.

U nas przeszkadzamy wprawdzie sprzedaży ptaków spiewających na placach publicznych, ale tolerujemy ją w sklepach; idąc za przykładem Warszawy powinniśmy i tam wkraczać, ale zachodzi tu ta różnica, że członek ochrony zwierząt publicznie może interweniować, choćby był bez asystencyi, do sklepu jednak bez opieki władzy wkroczyć nie może, nie chcąc się narazić na nieprzyjemności, że i u nas możnaby to przeprowadzić, to najlepszy przykład dał nam Wiedeń, jak to czytelnicy „Miesięcznika“ już wiedzą.

L.

Z zakresu gospodarstwa i weterynaryi.

podał

Tadeusz Krak.

Przeciw wzdymaniu się bydła. Wzdymanie się bydła, chodzącego latem po koniczynach, zdarza się w gospodarstwie dość często, nieraz przecież mimo posiadanych pod ręką narzędzi ratunkowych, jak troakar i rura kauczukowa, która wkłada się bydlęciu przez gardziel do przewodu pokarmowego, ratunek trudny, gdyż ludzie będący pod ręką, z narzędziami temi obejść się nie umieją. W takim razie bardzo dobrem lekarstwem na wzdęcie jest także spirytus amoniakowy (amoniak), który powinno się w tym celu mieć zawsze w zapasie, przechowując go w ciemnem

i chłodnem miejscu, w butelce zakorkowanej szklanym korkiem. Na litrową butelkę wody miękkiej bierze się 1—2 łyżek stołowych amoniaku i daje w razie potrzeby bydlęciu wypić, podtrzymując głowę ostrożnie do góry, wszakże gdyby przy operacyi tej bydle zakaszlało się, głowę opuszcza się na dół i oczekuje, dopóki ono nie wykaszle się zupełnie, poczem dopiero resztę lekarstwa w gardziel się wlewa. Skoro lekarstwo nie poskutkuje odrazu, można powtórzyć je raz i drugi, a jeśli z daniem lekarstwa wogóle nie czekano za długo, polepszenie nastąpi niechybnie.

Ochromienie czyli sparaliżowanie świń na nogi pochodzi z osłabienia nerwów, spowodowanego brakiem trawienia lub niedostatecznego pokarmu. Nie należy uważać tej choroby za rozmiękczenie kości, przy której zwierzęta powoli chodzą, gdyż kości im się krzywią i u których siedlisko choroby jest w kościach u nóg, gdy przyczyną ochronienia jest osłabienie kości pacierzowej i przyległych części ciała. Choroba ochromienia powstaje skutkiem zbyt częstego zadawania karmi kwaśnej lub rozkładowi uległej; także i z tego, że koryta nie bywają należycie czyszczone. Przesycenie u młodych świń często powstaje, gdy im się daje zbyt wiele kwaśnego mleka; padają one, dusząc się od ciśnienia, jakie żołądek rozszerzony wywiera na płuca. Mlecz pacierzowy także na tem cierpi, a skóra grzbiet otaczająca, dostaje zapalenia, choroba ta uderza w dalszym ciągu na mózg, do którego dochodzi krew wodnista. Ochromienie to często napada świnie nienormalnie pasione. Zwierzęta ciągną za sobą prawie bezwładne nogi tylne, tak, jakby je kto był uderzył silnie po grzbiecie i poruszają się tylko na nogach przednich. Zwierzę mimoto żre, jak gdyby było zdrowe, bo choroba ta nie sprawia mu boleści. Chcąc zapobiedz zniszczeniu zwierzęcia, należy wziąć je w kuracyę głodową w pierwszych zaraz dniach, gdy się chorobę zauważy. Daje się czystą wodę, lub rzadką zupę z mąki z proszkiem peruwiańskim, lub z łyżeczką siarkanu żelaza i to tylko raz na dzień. Potem daje się odwar z żołędzi.

Żywienie koni samą koniczyną zieloną jest szkodliwe, gdyż pociąga za sobą wzdymania, kończące się nieraz śmiercią. Konie w ten sposób żywione, męczą się szybko, ulegają łatwo wywichnięciu stawów i innym chorobom kości. Dodawanie owsa do takiej paszy niewiele pomoże, gdyż owies odchodzi z koniczyną wodnistą niestrawiony. Naturalnie, że zielona pasza służy

inwentarzowi, a więc i koniom; lecz zawsze jest pewniejszą pod tym względem trawa z łąk niż koniczyna. Najlepiej dawać koniom mieszaninę z wyki, grochu, jęczmienia i owsa, skoro ziarno już się wykształciło a wyka strączków dostała. Także seradela po okwitnięciu służy bardzo koniom.

Nienaturalny pociąg lizania u bydła jest chorobą, której lekceważyć nie trzeba, Przyczyna tej choroby jest złe odżywianie bydła. Badania skrupulatne wykazały, że pociąg do lizania powoduje brak fosforanu wapna, potrzebnego do tworzenia kości. Taką szkodliwą paszą jest spleśniałe siano z łąk, które podległy zalewom deszczowym, i których trawy są z natury kwaśne. Bydło ulega tylko instynktowi, jeżeli przez lizanie i ogryzanie kamieni i murów, szuka sobie części mineralnych, odpowiednich swemu organizmowi. Na poskromienie tej choroby użyć można ze skutkiem wapna kwaskowo-fosforycznego, zmięszanego ze solą kuchenną i to po dwie łyżki stołowe dziennie. Przedewszystkiem trzeba się postarać o poprawę łąki, bo tylko z dobrych łąk można zdrowe i dobre siano sprzątać.

Niedbałość w hodowli koni polega zwykle na omijaniu następujących reguł, i tak: 1) Sprzedaje się najlepsze źrebięta, nie zważając na to, że potrzebne są one do polepszenia własnego stada. 2) Trzyma się źrebięta kupą przez pięć zimnych miesięcy w stajniach szczupłych, przez co cierpią nietylko nogi, ale też i grzbiety. 3) Źrebięta zmusza się do ściągania siana zbyt wysoko dlań ułożonego, przez co muszą wyciągać głowę i szyję do góry, co znowu wywołuje grzbiety słabe lub zagięte. 4) Jeżeli się zaprzęga 3—4 letnie i używa jednego cugla dzielonego to to jest barbarzyństwem i rujnuje konie.

Reguły w hodowli świń. James Howard, znany angielski hodowca świń, podaje następujące wskazówki dla racyonalnego ich chowu: 1) Knur przenosi na potomstwo w pierwszym rzędzie swój wygląd zewnętrzny. 2) Maciora przenosi natomiast na swoje potomstwo przymioty wewnętrze, jak: konstytucyą temperament i siłę. 3) Im czystszej rasy są rodzice, tem silniej objawiają się wymienione przymioty u potomstwa. Jeżeli tylko jedna sztuka pary rodzicielskiej jest zupełnie czystej rasy, to przymioty tej rasy przechodzą na młode w większej mierze od ojca, niż od maciory. 4) Jeżeli knur należy do rasy czystej, to przechodzi barwa jego sierci na młode częściej niż od maciory rasy czystej. 5) Jeżeli knur jest pochodzenia uszlachetnionego,

to przenosi się ta jego wartość nietylko na pierwsze jego, lecz i na dalsze potomstwo. 6) Ułomności wewnętrzne maciory przenoszą się łatwiej na potomstwo, niż ułomności takie u knura. 7) Pokrewieństwa par należy unikać jak najusilniej. Szkaradne zjawisko, że maciora zjada swe własne młode, jest skutkiem pokrewieństwa; oprócz tego mogą i inne błędy być tego następstwem, a nawet utrata ogona. Wogóle należy być bardzo wymagającym w wyborze świń rozpłodowych, ponieważ od żadnego innego zwierzęcia nie wymaga się tyle co od świni, która ma się szybko rozwijać i łatwo opasać; to też należy na maciory tylko taki wybierać materyał, który pochodzi od dobrych macior; a dobra maciora nie ma mieć mniej niż czternaście sutek. 8) Dokładne prowadzenie książek pochodzenia i parzenia, tudzież dokładne stwierdzenie pochodzenia zwierząt rozpłodowych jest konieczną.

Tępienie chrząszczyków grochowych. Niszczenie chrząszczyków grochowych staje się nieraz koniecznością aby ochronić się od strat i pogorszenia jakości produkowanego grochu. Dla pozbycia się tych nieproszonych gości i zapobieżenia dalszemu ich rozmnażaniu się, moczy się groch przez dwanaście godzin w wodzie ciepłej o 25—30° C., poczem zsypuje się go na kupę i przerabia szuflą, by woda ociekła należycie. Po czynności tej opuszczają chrząszczyki wnętrze grochu i kryją się pod położone w około kupy płachty lub worki, gdzie też łatwo je zniszczyć. Oczyszczony w ten sposób groch należy zaraz wysiać, gdyż wkrótce zaczyna kiełkować. Drugi sposób, polega na ogrzaniu grochu do 50° C., przyczem chrząszczyki zupełnie giną. Potrzebną tu jest wszakże wielka przezorność, gdyż nieco wyższy stopień ciepłoty zniszczyć może siłę kiełkowania grochu. Trzeci środek jest siarkowodór. Nasienie, które oczyścić chcemy, wsypuje się do beczki, dodając na 1 hektolitr grochu 0·1 litra siarkowodoru. Następnie przykrywa się beczkę szczelnie i pozostawia przez 24 godziny. Wstrząsanie beczki nie jest potrzebne, gdyż wywiązujący się tam gaz przeniknie wszystkie ziarna i zabije chrząszczyki. Oczyszczony w ten sposób groch można natychmiast wysiać. Wreszcie używają także nasienia dwuletniego, z którego chrząszczyki już wyszły lub też zamarły w niem. Ziemia w takim razie musi być w dobrej sile, ażeby kwitnienie roślin prędzej odbyć się mogło.

Tępienie ós. Tępienie ós jest bardzo trudne. Zwłaszcza osy ziemne, należące do gatunku „Vespa germanica“ opierają się skutecznie wsystkiemu, co jest skierowane ku ich zgubie. Z drugiej strony wiadomo, jakie szkody wyrządzają te owady rolnikom, zwłaszcza w pasiekach i ogrodach. Wobec tego nie od rzeczy będzie zaznaczyć, iż we Francyi zaczyna się cieszyć wielkiem uznaniem przyrząd Boye'a do tępienia ós. Składa się on z dwóch deszczułek, umocowanych jedna nad drugą na słupkach drewnianych. Przestrzeń między słupkami jest zaciągnięta siatką metalową, bardzo gęstą. W niższej deszczułce jest otwór, przykryty piramidalnym daszkiem, zakończonym małą dziurką, przez którą osa bez trudności może wejść do kłatki, lecz wyjść napowrót już nie zdoła. We dnie znaczy się gniazda ós pałeczkami, wieczorem zaś, gdy osy udadzą się na spoczynek, stawia się pułapkę na gnieździe w ten sposób, aby owady nie mogły wydostać się z boku. Po wschodzie słońca osy zaczną się poruszać i wszystkie wejdą do pułapki, którą w celu wytępienia owadów należy potrzymać czas pewien nad jakiemkolwiek naczyniem z zapalonym kawałkiem siarki.

Rozmaitości.

Wpływ burzy na ryby. Niejednokrotnie zaznaczyliśmy, że ryby w stawach w czasie wielkiej burzy giną, a podobny skutek wywołnją burze także między rakami. Między hodowcami ryb utrzymywało się dotąd mniemanie, że ryby giną wskutek uderzenia piorunu w wodę, liczne doświadczenia wykazały jednak, że ryby w czasie burz ginęły, chociaż piorun w staw nie uderzył. W Prusiech i Rosyi dostrzeżono nawet, iż ryby mimo chłodnej pory wyginęły przy pojawieniu się zorzy północnej. Wpływ zmian powietrza na ryby znanym był zresztą od dawnych czasów. — Rybki złote, węgorze i sumy zdradzają przed burzą wielki niepokój i wychodzą z kryjówek, dlatego najlepiej łapać węgorze przed burzą. Śliz wąsaty robi sobie w przewodzie pokarmowym zapas powietrza, które zużywa, jeżeli w wodzie zabraknie powietrza.

Te zajmające objawy są więc znane, przyczyn ich jednak dotąd nie zbadano. Niektórzy badacze przypuszczają, iż w czasie burzy zanika w wodzie tlen do oddychania potrzeby, i że z tego powodu rypy się duszą.

Ofiary wojny japońsko-rosyjskiej. Nietylko ludzie, ale i zwierzęta cierpią strasznie wskutek wojny. Osobliwie konie padają ofiary swege obowiązku. Oburzenie jednak opanować musi każdego, gdą

przeczyta, jak cierpią konie rosyjskie w obecnej wojnie. Kula japońska przynajmniej odrazu śmierć zada, raniony koń długo przynajmniej nie cierpi. Ale jak nazwać postępowanie woźniców rosyjskich? Oto w czasie podróży koleją na wschód, musiano długi czas jezioro bajkalskie przebywać na saniach. Z powodu tego dużo koni w stacyach nadbrzeżnych było zebranych; cena paszy podskoczyła tak w górę, że woźnicom taniej przychodziło kupić nowego konia, niż karmić kupionego. Pracował więc biedny koń w głodzie tak długo, dopóki mógł wytrzymać; gdy już na nogach utrzymać się nie mógł, usunięto go z drogi i zaprzęgano drugiego, którego znów taka powolna śmierć głodowa czekała.

I tak robili ci, którzy Japończykom cywilizacyę nieść chcieli.

Ochrona pożytecznych ptaków istniała już w średnich wiekach. Zabijanie tychże było ostro karane. Za zabicie n. p. sikory musiano zapłacić jednego kapłona, 12 kurcząt i 60 szylingów. Według ustawy ochronnej dla ptaków w Zurychu w r. 1335 wynosiła kara za zabicie pożytecznego ptaka 5 szylingów, a ustawa lubecka z roku 1483 zawierała jeszcze ostrzejsze kary za taki czyn.

Żywienie wężów żywemi zwierzętami. Od dawnego czasu zakorzeniło się mniemanie, że węże w zwierzyńcach i menażeryach trzymane, tylko żywem łupem przy życiu. Dla właścicieli menażeryi jest wielką korzyścią trzymać się tego zwyczaju, bo spekulują na nienaturalną ciekawość i na kieszeń spektatorów. Wstrętny to widok, jak ludzie godzinami wyczekują przed klatką, niż wąż rzuci się na biednego królika, by go żywcem połknąć. Plakatami na kilka dni naprzód bywa to widowisko ogłaszane, a setki ludzi tępią bezwiednie swe uczucie litości, patrząc na strach przedśmiertny biednych zwierząt.

Tymczasem tego wszystkiego można uniknąć. Dyrektor roterdamskiego ogrodu zoologicznego od kilku już lat, jak donosi w liście do tamtejszego towarzystwa ochrony zwierząt, praktykuje z dobrym skutkiem karmienie wężów nieżywymi królikami, gołębiami i kurami.

Trochę dobrej woli ze strony magistratów miast, w których przebywają menażerye, a prędko zniknąłby ten brzydki zwyczaj.

Prosty środek do poskromienia najdzikszych koni znali od dawnych czasów Indyanie, którzy rozbrykanym koniom, lub bykom zakrywają oczy i w nozdrza dmuchają. Ten uspakający wpływ oddechu ludzkiego opisywał już w roku 1842 anglik Ellis (Horse-training). Warto go przypomnąć i w danym razie zastosować.

Kot sprawcą pożaru. W jednej zwiosek, o parę mil od Opola, w Królestwie Polskiem, przytrafiło się zdarzenie dosyć niezwyczajne. Właścicielowi młyna często robił szkody kot, co doprowadziło go do największej złości. Raz podczas jego nieobecności, kot mleko wypił i dzierzkę rozbił. Wtenczas młynarz na swoje nieszczęście, wymiślił straszną zemstę. Wyniósł kota na pole, oblał naftą i podpalił. Kot, miącząc, pobiegł wprost do domu, gospodarz za nim. Zaczął go wszędzie szukać, ale już na górze zawalonej słomą, pokazał się ogień, a że zabudowanie było znacznie oddalone od reszty domów, ratunek był nieprędki, tak że cały dom, obora i stodoła zgorzały, przynosząc

szkody na kilka tysięcy rubli. Młyn, stojący dalej ocalał. Poszkodowany i jego sąsiedzi są przekonani, że zły duch w postaci tego kota był sprawcą wszystkiego złego. Bo dodać jeszcze trzeba, że Towarzystwo ubezpieczeń, po przeprowadzeniu śledztwa, sumy szacunkowej nie wypłaciło i w dodatku oddało młynarza pod sąd.

Nowożytni gladyatorowie. Mieszkańcy francuskiego miasta Roubaix nie zadawalniają się walką byków, lecz szukają wrażeń w walkach byków z lwami. Świeżo taka walka odbywała się w tem mieście wobec ogromnego zjazdu amatorów circenses z Francyi, Anglii i Ameryki. Na arenie wzniesiono olbrzymią klatkę żelazną, w której odbywać się będą zapasy. Klatka ma dwoje drzwi, wiodących do dwóch klatek mniejszych, w których oczekują na walkę lew i byk. Na dany znak otwierają drzwi lwiej klatki, na arenę wyskakuje wspaniały lew sprowadzony z Abisynii kosztem 7000 franków. Następnie służba otwiera klatkę drugą i na aranę wbiega w poskokach młody byk czarny. Zwierzę zatrzymuje się nagle i przez parę sekund obserwuje lwa, który kociemi ruchami posuwa się wzdłuż ogrodzenia. Nagle byk rzuca się na lwa i przygważdża go rogami do kraty. Lew wydaje ryk straszliwy, uderzeniem łapy odrzuca byka i stara się wdrapać na kratę, a gdy mu się to nie udaje, zaczyna znów zwolna posuwać się wzdłuż kraty, spoglądając na publiczność swemi złotemi oczyma. Byk w podskokach wraca na środek klatki, bacznie przypatrując się lwu, który na pozór wcale nie zwraca na byka uwagi. Następnie atak drugi, który lew przyjmuje tak, jakby był kotem, napastowanym przez psa: oparty łapami o kraty szuka punktu wyjścia z kłopotliwego położenia. Przyparty do kraty, lew chwyta zębami za rogi byka, a pazurami krwawi szyję i pysk bydlęcia Jeszcze jedno i drugie uderzenie o kratę lew puszcza byka, rzuca się o kratę, zwiesza przednie łapy na zewnątrz przez otwory w okratowaniu, piszczy porykuje z cicha, jakby prosił obecnych o litość i zmiłowanie, a gdy służba cyrku drągami żelaznemi spędza go z kraty, zeskakuje i znów czołga się po piasku areny wzdłuż kraty. Wogóle przez cały czas widowiska lew ani razu nie przyjął walki, ani razu nawet nie spojrzał w stronę byka, jakby chciał przez to powiedzieć: „Nie lubię kłótni; nie chcę dawać pretekstu do bójki“. Ostatecznie po paru jednostronnych atakach byk dobił lwa, który legł jak kłoda na piasku areny. Zwolennicy tego rodzaju okrutnych widowisk twierdzą, iż walka nie daje im wrażeń z powodu nierównomiernych warunków wypuszczonych na arenę zapaśników. Jak twierdzą pogromcy zwierząt, lew a nawet tygrys bengalski wobec byka jest zupełnie tchórzem.

Przeciw ukąszeniu szkorpionów. W meksykańskim stanie Durango, gdzie rocznie umierają setki ludzi, przeważnie dzieci, od ukąszenia szkorpionów, poczyniono poważne próby celem wytępienia tych szkodliwych stworzonek. Najlepszym środkiem ma być proszek z kwiatu złocienia (chrysanthemum), który należy rozsypać w pokoju, lub spalić. Owad sie znosi tego zapachu i wynosi nię czemprędzej.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem T. Wiedenia.